

Fryderyk Mauzens.

# Z BAGNA PARYŻA

10

— Lecz komu mam dać te pięćdziesiąt ludorów?

— Ma się rozumieć, że mnie! Uważa pan, że mój policzek nie jest wart tyle?

— Ależ panu nie uderzono!

— Owszem, uderzono moralnie!.. Niech mi pan pozwoli skończyć... Pięćdziesiąt ludorów na broń, lekarza, powozy, śniadanie...

— Czyż pan sądzi, że Piotr Carlelegue przysłał panu świadków?

— Nie wiem... Może być jednak pewny, że będzie miał wizytę moich...

— Och!..

— Ma się rozumieć!.. Karol Turner nie może otrzymać bezkarnie policzków!..

— Ponieważ pan jednak nie jest prawdziwym Karolem Turnerem...

— Bardzo dobrze! Niech mi pan w takim razie pozwoli stać się Ernestem Panajonem. Nie chcę pozostawać w skórze jegomościa, którego policzkuje się dowoli.

— No, dobrze! Będzie się pan bill!

— Lecz czyniąc to, narażam swą własną skórę... Oceniając to tylko na pięćset ludorów, zdaje mi się, że jestem bardzo skromny...

— Powiedziałem już raz, że dam panu czterdzieści tysięcy franków, gdy pańska rola się skończy... A teraz pan już żąda o dwanaście tysięcy więcej.

— Już? Co pan chce powiedzieć przez ten przysłów? Czy pan podejrzewa mnie, że chcę pana obdzierać?

Maksym Duret nie odpowiedział. Myślał tylko: „To nie podejrzenie tylko, lecz pewność... Na szczęście wiem o tym dość wcześnie... Wiedziałem o tym, mój kochanku, że od chwili, gdy ci się zwierzę, każesz mi śpiewać po swojemu i śpiewać możliwie najgłośniej... szukałem jednak sposobu, by przeciąć tę eksploatację... I znalazłem go... Poczekam, gdy nie będę cię już postrzegał, a wtedy zobaczysz!”

Złodziej mówił dalej:

— Zresztą tych dwunastu tysięcy nie zamierzam wcale złożyć w kasie oszczędności... Zużyję ich na podtrzymywanie powagi bogatego Australczyka... Dopóki mam pozostawać milionerem, będę wydawał wszystko, co od pana otrzymam... Może pan być zupełnie pewnym co do tego... Banknoty pańskie nie będą butwiały w moim portfelu...

I istotnie, pomimo bardzo urodzajnej zimy, którą spędził na okradaniu pokoi hotelowych i włamywaniu się do mieszczańskich domów, Panajon podczas swej nocnej wyprawy do baronowej de Lagunan nie posiadał nawet dziesięciu ludorów. I teraz nie zbyt wiele mu już pozostawało z dwóch tysięcy franków, które Maksym Duret wręczył mu poprzedniego dnia.

Szczupłość tej sumy, która mu prawie w oczach topniała, od samego rana przyprawiała go o zły humor.

— Sto ludorów ma starczyć na odgrywanie roli nabab! — powtarzał sobie. — A gdy je wydam, ten stary Harpagon doda mi drugie sto i ani grosza nie dołoży i za to mam olśniewać Paryż swą wspaniałością! Jestem podobny z temi kilkoma groszami do żyda wiecznego tulacza! Tymczasem Maksym Duret już się zdecydował.

— Dobrze — rzekł. — Jutro będzie pan miał swe dwanaście tysięcy...

— Doskonale! — odrzekł zadowolony złodziej. — Niech mi pan wierzy, że nigdy nie można skąpić... Nic nie kosztuje tak drogo... jak skąpstwo. Zarumieniłem się, gdybym musiał dać skromny napiwek kelnerowi, który mi służy w kawiarni... Zgodziłbym się już nawet okraść go, byle tylko zostawić mu odpowiednią kwotę... Teraz — mówił dalej, zmieniając ton — inna rzecz... Karol Turner nie zna jeszcze wielkiego świata paryskiego... Kogo ma on wziąć za świadków?

Jest to dość trudne...

— Wcale nie. Czyż nie mam pana?

— Tak... Ja jednak nie mogę panu służyć z dwóch względów... Po pierwsze, jestem w przy-

jacielskich stosunkach z młodym Carlelegue'em i jego rodziną...

— Po drugie — rzekł Panajon — poważny filantrop, Maksym Duret, kandydat do akademii nauk moralnych i politycznych, śmiesznie wyglądałby na polu walki przy pojedynku, który wynika z powodu dysputy o kobietę przy stole gry...

— Istotnie, tak!

— Nie myślałem też wcale pana prosić na świadka... Liczę tylko na pana, jako na człowieka uszeregowanego, który pozna mnie z dwoma gentlemanami dobrze urodzonymi, dobrze wychowanymi, dobrze widzianymi, jednym słowem z dwoma odpowiednimi świadkami dla Karola Turnera.

— To co innego.

— To zupełnie co innego... Węzły przyjaźni, które pana łączą z Carlelegue'ami, nie przeszkadzają panu oddać mi tej przysługi... Nie może mi nawet pan jej odmówić... Jeżeli pan w do skonałych stosunkach z wielkim fabrykantem samochodem, nie w gorszych pan jest i z wielkim przemysłowcem z Melbourne, który tylko do pana może się z tem zwrócić...

— Dobrze! — przerwał Maksym Duret. — Będzie pan miał swych świadków!

— Doskonale! Ludzie zupełnie *comme il faut*?

— Zupenie.

— Kiedy i gdzie ich zobaczę?

— Przyprowadzę ich panu jutro na ulicę Boissy d'Anglas. Poproszę ich o to jeszcze dziś wieczorem.

— Jest już dość późno.

— Nic nie szkodzi... Byli oni, a zapewne muszą jeszcze być na przyjęciu u mej siostrzenicy... Powrócę tam...

— A kto są ci panowie?

— Markiz de Baudricourt i młody Garrigue.

— Znam ich nazwiska... Markiz jest jak i pan członkiem całej masy rad zarządzających... Garrigue posiada olbrzymią fortunę zdobytą przez jego zmarłego ojca na jabykowaniu pigalek przeciw niestrawności...

— Tak, to oni.

Samochód wjechał na dziedziniec Tuileries-Palace i zatrzymał się przed podjazdem.

— Każe się odwieźć na ulicę Ampere — rzekł Maksym Duret.

— Proszę bardzo — rzekł uprzejmie Panajon. — Samochód mój jest zawsze do twej dyspozycji, drogi przyjacielu!

Maksym Duret powstrzymał się od nerwowego ruchu. Już kilka razy podczas przyjęcia u pani de Lagunan, złodziej i filantrop odzywali się do siebie „drogi przyjacielu”. Czyniąc to jednak, odgrywali rolę dla otoczenia. Prezes spodziewał się jednak, że na osobności, każdy zachowa się odpowiednio do swego położenia. Panajon pamiętał do tej pory o tem i teraz po raz pierwszy dopiero pozwolił sobie na tę poufalskość.

Służący w liberji zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki. Panajon wysiadł.

— Dobra noc, drogi! — pożegnał Maksyma Dureta, czyniąc w powietrzu przyjacielski gest ręką.

Prezes jeszcze wynioślejszym tonem, niż zazwyczaj, by zaznaczyć różnicę między nimi, a o jakiej zapominał jego współnik, polecił mu:

— A proszę nie zapominać o śledzeniu, o jakim panu mówiłem!

I zagłębił się w samochodzie, nie mówiąc ani jednego słowa pożegnania. Służący zamknął drzwiczki.

— Proszę odwieźć pana tam, gdzieśmy byli — rzekł Panajon do szofera.

I popatrzył z niezadowoloną miną na samochód, który odjeżdżał w stronę ulicy Rivoli. Bolał go bardzo sposób, w jaki Maksym Duret przyjął jego zbyt przyjacielskie słowa.

„Już po raz drugi tego wieczoru mówi do mnie tak, jakby król nie powiedział do chłopca — szepnął do siebie. — Ordynarny, gbur, balwan! Saprasił! gdy kto urzęduje takie podle intrigi jak ty, ten nie przybiera dumnych min wobec tego, kto je zna!..

Panajon wiedział doskonale, dlaczego Maksym Duret chce skompromitować Ludwikę Dubois. Prezes nie wyjawiał mu tego i chciał kierować swym współnikiem, jak pajacem, którego pociąga się za sznurek. Złodziej jednak domyślił się łatwo wszystkiego i postanowił

przerwać w połowie swą niegodną rolę fałszywego uwodziciela.

„Poczekajmy jeszcze, dopóki ta stara kanalia nie skompromituje się zupełnie, przedstawiając mnie całemu Paryżowi — myślał. — Dzięki temu i fałszowaniu listów Karola Turnera, będę cię trzymał w rękach i kręcił jak starym dudkiem...”

Perspektywa pogrzebienia Maksyma Dureta rozweseliła Panajona, u którego zresztą zły humor nie trwał nigdy długo i ustępował wkrótce miejsca wrodzonej mu wesołości. Mrncząc jakąś melodię wstępował z cylindrem na bakier na schody Tuileries-Palace i udał się do swego apartamentu. Towarzyszył mu Tetard.

— Spiesz się, ciuro! — rzekł wesoło złodziej. — Rozbieraj mnie prędzej!

Rzucił na siódł kapelusz, laskę, rękawiczki, poczem siadł we fotelu, wyciągając nogi do swego nowokreowanego służącego, by zdjął mu trzewki.

— Musimy jutro przed południem zainstalować się na ulicę Boissy d'Anglais... Tam jutro będę oczekiwał na swych świadków...

— Świadków!.. Żenisz się?... — zapytał herkules bez wielkiego zresztą zdziwienia, gdyż po Panajonie mógł się spodziewać wszystkiego.

— Nie, biję się.

— Z kim?

— Z młodym Carlelegue'em.

— Królem stu dwudziestu koni?

— Tak.

— Do diabła! Masz niezwyklego przeciwnika.

— I pojedynek będzie niezwykle... z reporterami, fotografami, z premierową publicznością... A propos! Załatwisz mi pewną drobnostkę?

Panajon wyjął z oszklonej szfy małą skórzaną torebkę, jakiej często używają chirurdzy do chowania swych przyrządów. Był to jednak futerał z narzędziami złodziejskimi, z którego dobył mały wytrych. Potem otworzył walizkę i wydobł z niej małą latarkę.

— Weź to — rzekł, podając oba przedmioty Petardowi.

— Wytrych... Latarka... — zdziwił się herkules. — Wysłasz mnie na kradzież?

— Wcale nie... Słuchaj uważnie... Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Tetard, który nie lubił stać, wyciągnął się zaraz na fotelu.

— Nie śpij... — rzekł Panajon, wiedząc z kim ma do czynienia.

— Nie bój się, nadstawiłem uszy — zapewniał służący. — O co chodzi?

Podczas gdy fałszywy Australczyk dawał wyjaśnienia herkulesowi, Maksym Duret jechał przez bulwar Malesherbes. Opuścił w samochodzie okna, by orzeźwić się świeżym powietrzem i rozmyślał:

— Zdaje mi się, że się z tego wywikłamy, Piotr jest przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem... Najlepszym tego dowodem jest ten policzek... Również i Maixent winien być tego zdania... Po rozmowie jednak z tym mni-manym Melburnczykiem miał jakąś dziwną minę... Nie mogę być jeszcze zupełnie spokojnym...

Samochód skręcił na lewo w ulicę Ampere. Na zakręcie Maksym Duret ujrzał postać mężczyzny, który z jednego chodnika przechodził na drugi. Był to Lewis Jackson, który wyszedł już od państwa de Lagunan i wracał pieszo do domu. Szofer nacisnął trąbkę, lecz Lewis nie wiedząc na którą stronę się cofnąć, na chwilę przystanął, lecz zaraz postąpił dwa kroki w tył, by wyminąć samochód, który zakręcał w prawo. Maksym Duret zerwał się z siedzenia i wychylił naprzód.

— Proszę uważać! — krzyknął na szofera. — jednocześnie jednak schwycił go tak silnie za rękę, iż kierownik zwrócił się na lewo. Wskutek tego samochód zmienił naraz kierunek i najechał na Lewisa Jacksona.

— Do stu tysięcy! — zaklął szofer.

Amerikanin leżał na chodniku.

— Dlaczego pan mnie złapał za rękę? — wołał szofer, zwracając się do Maksyma Dureta.

— Bo pan najechałby na niego!

— Nie najechałbym, gdyby pan siedział spokojnie!

Samochód stanął i przestraszony filantrop podbiegł zaraz do leżącego bez czucia Jacksona.

\* \* \*

(Ciąg dalszy nastąpi).